

# Kawałeczek ziemi

**Byłam najmłodszym, kochanym dzieckiem. Miałam sześciu braci i siostrę. Rodzina była religijna, taka normalna, ciepła, dobra. W getcie znalazłam się z nakazu, z zarządzenia Hitlera – mówi ocalała z warszawskiego getta **Krystyna Budnicka** w rozmowie z Damianem Kwiekim**

**Pani rodzina nie trafiła do getta, to getto przyszło do Państwa.**

Mieszkaliśmy przy placu Muranowskim. To był teren, który w '40 roku znalazł się w granicach getta. Zajmowaliśmy lokal na parterze, a w suterenie tato miał stolarnię i pracowali tam również moi bracia. Jeden tylko odszedł od tej tradycji, miał czytelnię „Parnas” na Nowolipiu, o czym zresztą wspomina Józef Hen w swoich opowiadaniach – że wypoczywał u niego książki.

**Jak dowiedzieli się Państwo, że powstało getto?**

Miałam wtedy siedem lat, nie wszystko rozumiałam, ale to jakoś szybko stało się oczywiste. To się działo, widziałam mury – i nikt nikogo nie pytał, czy się zgadza, czy nie. Było zamieszanie, czuło się natłok ludzi z innych dzielnic, szukanie mieszkań. Zrobiło się po prostu ciasno na tym małym, wydzielonym terenie. Ale z mojego punktu widzenia – ciągle mieszkalam w domu, tylko nie chodziłam do szkoły. Pamiętam nauczycielkę, która zbierała dzieci na podwórku. Uczyla nas piosenek, wierszyków – żeby się dzieci nie plątały. Niemniej rozumiałam, że dzieje się coś niedobrego, bo to wszystko było nienormalne. Ale to był dopiero początek. Potem już wiedziałam, że grozi mi śmierć.

**W jaki sposób rodzice tłumaczyli Pani, co się dzieje?**

Nie przypominam sobie, żebym zadawała im takie pytanie – życie samo tłumaczyło: te wszystkie ograniczenia, które Niemcy wprowadzili. Ale trzeba też zaznaczyć, że ja byłam dzieckiem chronionym przez dorosłych. Moi bracia byli dorośli i cała ich aktywność skupiała się na tym, żebyśmy nie dali się złapać.

Była świadomość zagrożenia, od pewnego momentu wiedzieliśmy już o Treblince. Wiadomo było, że jak się dasz złapać, to możesz pójść do obozu śmierci. Było jasne, że to nie są żadne wywózki do pracy, tylko na śmierć. I moje dorosłe otoczenie swoją energię kierowało na to, żeby nas jakoś ochronić i żeby się ukryć. Bardziej mówię tu o braciach niż o rodzicach, zwłaszcza o ojcu, który wtedy zupełnie się załamał.



**Krystyna Budnicka** (ur. 1932) – przed wojną Hena Kuczer, jedna z ostatnich żyjących dziś osób, które przebywały w warszawskim getcie. Przez dziewięć miesięcy wraz z rodziną ukrywała się w prowizorycznym bunkrze, zbudowanym na terenie zamkniętej dzielnicy żydowskiej. Po wojnie ukończyła pedagogikę specjalną i pracowała z dziećmi upośledzonymi i sierotami. Fotografia z 1948 roku.

Fot. www.sprawiedliwi.org.pl

**Na czym polegało to ukrywanie się? Przecież Niemcy byli na ulicach getta, wchodzili do domów.**

Moi bracia wyspecjalizowali się w robieniu skrytek. Konstruowali je u nas w domu – jako dziecko wiedziałam, że w razie rewizji albo łapanki od razu trzeba się schować. Poza tym bracia robili też takie skrytki dla innych, na zamówienie. Wielu ludzi było tym zainteresowanych i budowanie skrytek stało się pracą zarobkową moich braci. Dzięki temu jakoś wtedy egzystowaliśmy. Wówczas jeszcze nie dawało o sobie znać skrajne wyczerpanie, nędza i głód nie były tak dotkliwe. W Warszawie niemal wszyscy szmuglowali. Jeśli miało się pieniądze, można było pokątnie kupić, może nie chleb, ale mąkę, kaszę. I wtedy powstał bunkier...

**Bunkier?**

Bracia postanowili stworzyć miejsce, w którym będziemy mogli bezpiecznie przetrwać nawet do końca wojny. To był oczywiście bunkier prowizoryczny, zbudowany w piwnicy, umocniony, ze spżarnią i połączeniem z kanałami. Był specjalny tunel, prowadzący do kanałów, z wyjściem na stronę „aryjską”.

**Pojawiła się nadzieja, że koszmar wojny można przetrwać?**

Nadzieja brała się stąd, że był to już rok '43 i nadchodziły informacje z frontu wschodniego, że załamuje się ofensywa niemiecka, Niemcy zaczynają się wycofywać. Słyszeliśmy o Stalingradzie.

### Skąd mieli Państwo te informacje?

Było u nas radio, oczywiście przemycone, bo nie wolno było mieć. I pamiętam taką rozgłosnię... „Tu rozgłosnia polska Świt” albo: „Bum bum bum, tu mówi Londyn” – to pamiętam bardzo dobrze. Był jeszcze taki chorał: „Z dymem pożarów do Ciebie, Panie, bije ten głos”. I wołali „Getto płonie!”, „Skarga to straszna” – taka była pieśń, która nadal gdzieś tam brzmi w moich uszach. W wiadomościach też słyszeliśmy doniesienia, że getto płonie, i była wtedy nadzieja – że świat wie o tym i może przyjdzie z pomocą.

### A gdzie powstał ten bunkier?

Nie pamiętam numeru, ale to była ulica Zamenhofa. On był budowany w '42, a wprowadziliśmy się do niego w styczniu '43 roku. To była solidna konstrukcja!

### Wie Pani, jak braciom udało się go wybudować? Chyba potrzebowali jakichś materiałów?

Nie, nic specjalnego nie było potrzebne. Jak już mówiłam, moi bracia wykorzystali w tym celu piwnicę, którą pogłębili i w ten sposób obniżyli poziom. A ziemią, którą wydobywali, obłożyli bunkier z zewnątrz, tworząc rodzaj ziemianki. Ze zdobyciem innych materiałów, takich jak deski do szalowania, raczej nie było problemu, bracia gdzieś to znajdowali. Potem trzeba było wybudować tunel prowadzący do kanału. No i znowu musieli wydobyć ziemię i oszalować deskami. Tunel miał około dziesięciu metrów długości, a ziemia też została wykorzystana do otulenia bunkra, co ostatecznie okazało się dla nas fatalne. Bo kiedy getto się paliło, ziemia bardzo się rozgrzewała i byliśmy dosłownie jak w piecu. Nie widziałam płonącego getta, ale czułam ten płomień na własnej skórze, bo on był wewnątrz.

### Jak Państwo radzili sobie z tym gorącem?

Uciekało się wtedy do kanału, w kanale było chłodno. Mieliliśmy tam deski, na których siedzieliśmy. Ale to też nie było takie proste, bo Niemcy się zorientowali, że coś się w kanałach dzieje. Kiedy getto zaczęło płonąć, ludzie próbowali uciekać kanałami. Niemcy do nich strzelali. Dlatego co jakiś czas przepływały koło nas trupy. Wrzucali też bomby



Fot. www.sprawiedliwi.org.pl

► Krystyna Budnicka z Ireną Sendlerową – Sprawiedliwą wśród Narodów Świata; fotografia wykonana ok. 2000 roku

gazowe i musieliśmy stale wędrować. Najpierw do naszego bunkra, tam gorąco, no to do kanału, w kanale gaz, więc czekaliśmy, aż gaz opadnie. Używaliśmy szmat z wodą, bo oczywiście żadnych masek gazowych nie było, nie byliśmy na to przygotowani. I tak to trwało, aż ostygły mury. I dopóki nie wrócili moi bracia, bo poszli do powstania, które wybuchło w getcie w kwietniu.

### Państwo byli w bunkrze sami?

Nie, oprócz mojej najbliższej rodziny byli jeszcze bratowa i kilkanaście innych osób. To było zresztą dobrze pomyślane, mieliśmy zapasy jedzenia w specjalnym sąsiednim pomieszczeniu. Sądziłyśmy, że spiżarnia będzie bardzo bezpieczna, bo miała żelbetowy strop. Ale pierwszego dnia sufit się zawalił i prawie wszystko straciliśmy. Zostały tylko dwa worki owsa. Dziełiliśmy je potem na małe porcyjki, żeby wytrwać. Owies gotowaliśmy, bo w bunkrze były bieżąca woda i prąd. Mieliliśmy też jakąś wentylację, wyprowadzoną na zewnątrz, ale nie było okien, więc nie widzieliśmy światła dziennego. Nasze grono uszczuplało się – kilka osób nie wytrzymało i wyszło; nie wiem, co się z nimi stało. Był lekarz z żoną – dobrze pamiętam, jak pewnego razu powiedział: „Pierwszy raz mój zegarek stanął, koniec mojego życia, ja wychodzę”. W tym czasie dwóch moich braci już nie żyło. Zostali złapani i wywiezieni do Trebłinki. Obaj byli z żonami, a jeden również z dwójką dzieci, dziewczynką i chłopczykiem.



Fot. MPW

► Ulica warszawskiego getta – zanim głód i nędza stały się nieznośne, ludzie starali się stworzyć namiastkę normalnego życia

## Jak wydostali się Państwo z ukrycia?

Groziła nam śmierć głodowa, musieliśmy coś zrobić. Miałam wtedy jedenaście lat i z moim najmłodszym, dwunastoletnim bratem zaczęliśmy penetrować kanały, nasłuchiwać i szukać miejsca, przez które można by wyjść. Którejś nocy wyszły na zewnątrz dwie młode dziewczyny i udało im się nawiązać kontakt ze stroną „aryjską”. Właz, którym wyszły, stał się włazem kontaktowym – umówiliśmy się, że tam będą zostawiane karteczki z wiadomościami. Niestety stało się tak, że kiedy przyszedł do nas łącznik i przyniósł jedzenie, mój brat Rafał coś zjadł – i zaszkodziło mu. Trzeba go było szybko stamtąd zabrać, potrzebował pomocy lekarskiej. Poszła wiadomość i został wyciągnięty na zewnątrz. A Rafał, choć nie był najstarszy, pełnił wśród nas funkcję komendanta, dowódcy całego tego tonącego okrętu. Był bardzo mądry, rozsądny. Teraz musieliśmy radzić sobie bez niego, a sytuacja dodatkowo się komplikowała. Nasz bunkier został nakryty – Niemcy zastrzelili dwóch moich braci i jednego mężczyznę, który poszedł z nimi na krótki zwiad, bo koło bunkra zrobił się jakiś hałas. Było jasne, że to już nie jest bezpieczne miejsce. Naszym przewodnikiem został Jehuda, mój trzynastoletni brat, który na szczęście chodził ze starszymi braćmi po kanałach i wiedział, gdzie jest właz kontaktowy. Podprowadził nas tam, podaliśmy kartkę z wiadomością, że od dwóch dni stoimy w wodzie, bez jedzenia i czekamy na pomoc.

## Przyszła?

Tak, ale okazało się, że właz jest zalutowany. Prawdopodobnie Niemcy zorientowali się, że jest koło niego ruch. Musieliśmy iść do następnego włazu. Ale wtedy stała się następna



Fot. D. Kwiek

► Ulica Zamenhofs – przy niej znajdował się bunkier, w którym przebywała Krystyna Budnicka; w oddali widoczny Błękitny Wieżowiec wzniesiony na gruzach Wielkiej Synagogi

tragedia. Ciągłe towarzyszyło nam to ubywanie... Moi rodzice nie mieli już siły się podnieść, żeby stanąć i ruszyć. Ten czas pod ziemią wyczerpał ich całkowicie. Jak na owe czasy byli starszymi ludźmi – tato miał sześćdziesiąt kilka lat, mama ponad pięćdziesiąt. Moja dwudziestoczteroletnia siostra postanowiła zostać z nimi. Liczyła, że ktoś przyjdzie i ich wyciągnie. Poza tym ciągle wierzyliśmy w mit wszechmocy mojego brata Rafała – że on na pewno coś zorganizuje. Niestety, okazało się później, że do tamtego kanału już nikt nie przyszedł i oni tam zostali. Nie sądziłam, że widzę rodziców i siostrę ostatni raz.

## Jak udało się znaleźć drugi właz?

Prowadził nas mój mały brat, ale to była bardzo skomplikowana sytuacja. Trafiliśmy na skrzyżowanie kanałów. My szliśmy mniejszym, a ten drugi

był duży – burzowy, o bardzo silnym prądzie. Właz, do którego zmierzaliśmy, znajdował się po lewej stronie, a prąd wody pchał w przeciwnym kierunku. I kiedy brat postawił nogę, żeby skrócić i pójść w stronę włazu, porwał go. Zostaliśmy w ciemności, ustawieni gęsiego. To była groza, bo ciemno i nie wiemy, co robić. Na szczęście po kilku sekundach zapaliło się światelko i słyszymy: „Ja żyję, ja żyję”. Wtedy on już poszedł prosto, nie musiał skręcać, dotarł pod właz i powiedział ludziom, którzy tam czekali na górze: „Musicie zejść po nich na dół, bo nie dadzą sobie rady”. Wyciągnęli nas, ale na górze była bardzo nerwowa sytuacja, bo czekali ludzie, którzy liczyli, że zobaczą swoich bliskich. Na nas czekał brat Rafał. Był bardzo chory. Dowiedział się, że rodzice zostali. Rozplakał się, był bezsilny. Prosił tych ludzi, żeby pomogli. Oni mówili: „Zorganizujemy [pomoc]”. Ale nie wiem, czy nie zorganizowali, czy było już za późno. W Żydowskim Instytucie Historycznym znalazłam po latach relację kobiety,



Fot. MPW



► Ruiny Wielkiej Synagogi przy ul. Tłomackie w Warszawie, wysadzonej przez Jürgena Stroopa 16 maja 1943 roku

która opisuje tamtą sytuację. Jest tam takie bardzo charakterystyczne zdanie: „Był 17 września [1943 roku], kiedy doszła do nas wiadomość, że w getcie, gdzie już podobno żywej duszy nie było, jest jeszcze w gruzach kilka osób i kilka rodzin – i nasza cała uwaga została skierowana na pomoc udzielaną tym ludziom”.

#### Co działo się potem z Panią i Pani dwoma braćmi?

Niewiele pamiętam z tamtego czasu, byłam wtedy w bardzo złym stanie – dosłownie na granicy życia i śmierci. W ogóle to pół roku po powstaniu w getcie było jak letarg. No i dwa tygodnie po wyjściu na powierzchnię zmarł mój młodszy brat – ten, który się topił w kanale – śmiercią naturalną, można powiedzieć, prawdopodobnie wdało się zakażenie krwi, sepsa lub coś takiego.

#### Kto się wtedy Państwem zajmował?

Różni ludzie, nie potrafię wskazać z nazwisk, ale była to organizacja żydowska i Żegota. Zawsze ktoś przychodził, przewozili nas w różne miejsca. W workach nas przewozili, jak towar, bo myśmy nie wyglądali jak ludzie. Nie byliśmy wtedy w ogóle przystosowani do pokazania się, wyglądaliśmy jak takie kościotrupy z Auschwitz, które się nieraz pokazuje na zdjęciach. A potem – to był już '44 rok, styczeń albo luty – straciłam jeszcze mojego brata Rafała, ostatniego z rodziny. Zginął w al. Szucha. Wydał go człowiek, który okazał

się konfidentem niemieckim. Jego ojciec pomagał Rafałowi, przynosił mu żywność. No i ten człowiek, wydając mojego brata, wydał też w konsekwencji swojego ojca.

#### Rok 1944 przyniósł kolejny kataklizm. Gdzie zastała Pani Powstanie Warszawskie?

Mieszkałam na Powiślu. To była ul. Dobra, prawie na rogu Tamki. Pamiętam euforię powstaniową! Została zajęta elektrownia, były biało-czerwone sztandary i radość, że zwyciężamy. Była fabryka Fuchsa, która produkowała cukierki – powstańcy tam wpadli, wyciągali te cukierki, rozdawali dzieciom.

6 września 1944 roku wychodziłam z Warszawy razem ze wszystkimi z okolicy. I tak sobie pomyślałam: nie widziałam płonącego getta, jedynie je czułam, ale widziałam płonąca Warszawę. Pędzili nas z Powiśla na Wolę, potem do Pruszkowa. Byłam w grupie dzieci – z Powiśla z Ordynackiej wychodził dom dziecka. Okazało się, że na osiemnaście dziewczynek było pięć Żydówek. Tylko jedna o drugiej nic nie wiedziała, dopiero po wojnie sobie o tym pogadałyśmy. Była taka jedna dziewczynka, która mówiła mi: „Boże, jak ja się o ciebie bałam! Bo ty byłaś tak bardzo żydowska, tak okropnie wyglądałaś”. Bo to przecież jeszcze była wojna – od września do 17 stycznia [tego dnia do zniszczonej Warszawy weszła Armia Czerwona – przyp. red.]. Nie było już



► Kładka przy ul. Chłodnej, łącząca „małe getto” (pl. Grzybowski i okolice) z „dużym gettem” na Muranowie

Fot. MPW

Fot. D. Kwiek



► Usytuowane w centrum dawnego „dużego getta” Muzeum Historii Żydów Polskich, otwarte w 2013 roku

wtedy nikogo z mojej najbliższej rodziny, poza bratową. Jak się zaczęła wojna – była duża rodzina; skończyła się wojna – byłam tylko ja. Padło na mnie, najślabszą, najbardziej bezbronną, najgłupszą, ja nie mam żadnych zasług, właściwie nic nie robiłam, żeby żyć. Ktoś za mnie decydował, ktoś chodził za mną. Ja nie walczyłam ani o jedzenie, ani o życie, ani o nic. A na mnie to padło.

**Napisała Pani później, że kiedy kończyła się wojna, była Pani „dorosłym, trzynastoletnim człowiekiem”.**

Tak, dojrzewanie przebiegło bardzo szybko. Ja się nie bawiłam, nie uprawiałam żadnych sportów. Byłam poważna, miałam dużo do nadrobienia, przecież nie chodziłam do szkoły, przez pięć lat wojny nie miałam żadnej edukacji, więc musiałam się uczyć, czytać książki. Jak pisałam, że byłam dorosła, miałam na myśli to, że nie był mi dostępny świat dzieciństwa i nawet wczesnej młodości. Były szkoła, matura i studia. Wybierając studia, uważałam, że mam coś do zwrócenia, chciałam pracować z biednymi dziećmi, z sierotami, najchętniej w domu dziecka. Ale to okazało się niemożliwe. Próbowałam też dostać się do milicyjnej izby dziecka, pomyślałam, że fajnie byłoby pracować z dziećmi, takimi zbieranymi z ulicy, ale tam też mnie nie przyjęli. Prawdopodobnie chodziło o to, że miałam na sumieniu dwa „grzechy”: byłam Żydówką i studiowałam na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. A to było niedługo po śmierci Stalina.



Fot. www.sprawiedliwi.org.pl

► Dwunastoletnia Krystyna Budnicka



Fot. D. Kwiek

► Muzeum Historii Żydów Polskich sąsiaduje z pomnikiem Bohaterów Getta, odsłoniętym w 1948 roku

Na KUL skończyłam pedagogikę specjalną dla dzieci upośledzonych i później trzydzieści lat pracowałam z dziećmi specjalnej troski – niepełnosprawnymi intelektualnie i sierotami. Po tym czasie poszłam na emeryturę.

**Dziś rozmawiamy w Pani mieszkaniu przy ul. Przechodniej. Mieszka Pani na terenie dawnego getta i ogląda Warszawę z góry.**

Tu jest takie bardzo charakterystyczne miejsce, proszę zobaczyć przez okno – ta wysoka kościelna wieża. To kościół [Wszystkich Świętych], który był w getcie i jako jedyny ocalał. Na zdjęciach z '44 roku widać w tym miejscu morze gruzów i tylko tę jedną wieżę, bo to był punkt obserwacyjny dla Niemców. Mieli z niej widok na całe getto i dlatego nigdy nie została zburzona.

**Ma Pani z okna widok – w symbolicznym sensie – na miasto swojego dzieciństwa...**

Nie dałoby się żyć, ciągle myśląc, co się tutaj działo. Traktuję ten widok jako zupełnie już inne miejsce.

**A jaki ma Pani stosunek do Warszawy, biorąc pod uwagę swoje doświadczenia i to, że dwa totalitaryzmy tak mocno odcisnęły się na jej kształcie? Tu prawie nic nie wygląda tak, jak wyglądało w Pani dawnym świecie.**

Kocham Warszawę, to jest mimo wszystko moje miejsce na ziemi. Nie zamieniłabym jej na żadne miejsce na świecie. Miałam różne propozycje i pytania: „Jak ty możesz żyć na cmentarzu?”. Ale ja jestem bardzo związana z Warszawą, przez całe życie. Ile razy wyjeżdżałam – a były ciężkie czasy – po powrocie chodziłam po bruku i czułam: „To jest moje, to jest moje, jestem u siebie”. Nie mam niestety żadnego grobu swoich bliskich. Ale ostatnio przeżyłam wielką radość: znalazłam nie tak dawno grób dziadka i babci na cmentarzu żydowskim przy Okopowej. Było wielkie święto. To jest dla mnie bardzo ważne. Raz, że to są moi przodkowie, że to są korzenie – oni jeszcze w XIX wieku i na początku XX tu żyli – a dwa, że to miejsce, gdzie na pewno w czasie pogrzebu dziadków stali moi rodzice. Jedyny tylko ten kawałek ziemi jest pewny. 🍀